

KATARZYNA MAK

DZIENNIK

BABY

GIRL



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja: Anna Szumacher

Korekta: Jarosław Lipski

Projekt okładki: Marta Lisowska

Zdjęcie na okładce oraz ilustracje wewnątrz książki wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: editio.pl (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

editio.pl/user/opinie/babygi

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-2120-7

Copyright © Helion S.A. 2025

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)



Babygirl

Houston, rok 1984

Brian nie odzywa się od kilku dni. To do niego niepodobne. Jak na starszego brata przystało, bywa odrobinę konserwatywny – dobra, czasem wychodzi z niego straszny sztywniak. Ale braku zainteresowania moją osobą zarzucić mu nie mogę. Chwilami wkurza mnie ta jego kontrola, ale dzięki temu czuję, że się mną opiekuje. Mam dach nad głową, nie chodzę głodna. Brian, odkąd zostaliśmy sami, dba o takie rzeczy. Ale ostatnio dokładałam się do rachunków. Odkąd rzuciłam szkołę – oczywiście, braciszek nie był zachwycony – musiałam iść do pracy. Mój brat postawił warunek. Albo wracam do nauki, albo idę do roboty. Więc wybrałam opcję numer dwa. W zasadzie nie miałam wyjścia, bo Brian zapobiegawczo, na wypadek, gdybym miała coś kombinować – cóż, dobrze mnie zna – sam mi ją znalazł.

Podnoszę słuchawkę telefonu i ponownie próbuję się do niego dodzwonić. Nie widziałam go od kilku dni, więc naprawdę zaczynam się martwić. Brian zabronił mi dzwonić na jego komórkę, bo te telefony wielkości połowy cegły są

kosztowne w utrzymaniu – minuta rozmowy kosztuje krocie. Ale to mnie nie powstrzymuje. Liczę, że nie dostanę reprimendy, bo sytuacja jest wyjątkowa. Tylko w takich miałam prawo dzwonić na jego prywatny, zastrzeżony numer.

– Odbierz, braciszku – mówię, zanim w słuchawce słyszę damski, automatyczny głos informujący o tym, że abonent jest poza zasięgiem lub ma wyłączony telefon. – Serio? – Spoglądam z niedowierzaniem na trzymaną w dłoni słuchawkę, po czym z trzaskiem odkładam ją na widełki. – I co teraz?

Po raz pierwszy od dawna nie wiem, co robić. Mój szef, pan Collins, właściciel klubu, w którym pracuję, a jednocześnie znajomy mojego brata, raptem wczoraj wyraził się jasno. Z etatu kelnerki mam awansować o szczebel wyżej, co w praktyce oznacza, że zostanę hostessą na nocnych zmianach. To zaś nieoficjalnie – mówi się o tym dość głośno na zapleczu – znaczy tyle, że będę musiała obsługiwać nachalnym, nierzadko szemranym typom, którzy po spożyciu nie potrafią utrzymać przy sobie rąk.

Już widzę minę brata, kiedy mu o tym mówię. Zwłaszcza o podejrzeniach, które ostatnio nie dają mi spokoju. Brian chyba nie miał pojęcia, jakie plotki krążą o klubie, skoro sam pchnął mnie do tej roboty. Jest wymagający, a nawet wyraził się jasno: skoro rzuciłam szkołę, mam pracować i nauczyć się odpowiedzialności, na wypadek gdyby – cokolwiek miał na myśli. Ale kocha mnie i na pewno nie chce dla mnie źle.

À propos „na wypadek gdyby”. Mój brat czasem bzdury gada i wspomina, że muszę nauczyć się dbać o siebie, gdyby jego miało zabraknąć. Straszac mnie, a raczej grając na moich uczuciach, próbuje mnie zmotywować do bycia w pełni dorosłą i odpowiedzialną osobą – jestem przekonana, że tylko o to mu chodzi. Jednak w chwili takiej jak ta, gdy od kilku dni nie pojawia się w domu i w dodatku nie odbiera ode mnie telefonu, zaczynam się coraz bardziej stresować. A i jego słowa, które dotąd brałam za brednie, coraz bardziej mnie przerażają.

Zanim wyjdę do pracy na popołudniową zmianę, na kartce piszę do niego wiadomość i zostawiam ją na stoliku, przy telefonie. Po prostu nie chcę, żeby się o mnie martwił, gdy wróci i nie zastanie mnie w domu. Przecież mógł zapomnieć, jaki mam grafik. Brian może mi zarzucać, że jestem lekkoduchem, ale z nas dwojga jestem tą, która myśli o takich *pierdołach*. Jemu niestety nie w głowie takie rzeczy.



Im bliżej wieczora, tym większy tłum napływa do klubu. A to oznacza więcej pracy, choć już i tak uwijam się jak mróweczka. Tyle że nie taszcząc na plecach nasionka wielkości własnego ciała, a śmigając po klubie z przyklejoną do rąk tacą. Nie narzekam, a nawet liczę, że dzięki takiemu obrotowi spraw szef na moment zapomni o naszej niedawnej rozmowie i *propozycji* awansu. Oboje dobrze wiemy, że nie pozostawiał mi większego wyboru i było to polecenie służbowe.

Więc albo na nie przystanę, albo wylecę z roboty. A przecież tego nie chciałam – zwłaszcza bez porozumienia z bratem – bo i chwilowo nie miałam nic innego na oku. Koniecznie muszę o tym porozmawiać z Brianem.

– Co się tak guzdrzesz, kotku? – dochodzi mnie z boku bełkotliwy głos klienta, wyczekującego na następną kolejkę. Akurat niosę ją do stolika, przy którym siedzi wraz z kumplami. – Płacą ci za opieprzanie się? No, już. Rusz tyłeczki!

Ignoruję jego zaczepki – jest pijany, więc nie warto z takim dyskutować – i z przyklejonym, wytrenowanym uśmiechem na ustach stawiam przed nim i jego towarzyszami kolejne kufle z piwem.

– No i to się nazywa obsługa – mówi, uśmiechając się bezczelnie i moszcząc się na krześle.

Już w zasadzie odchodzę, kiedy nagle czuję jego obleśną dłoń na moim pośladku.

– Zabieraj łapy!

Gdyby nie szef, który nagle wyrasta jak spod ziemi, całkiem możliwe, że zdzieliłabym go tacą. Byłam zaledwie o krok od tego.

– Słyszałeś, co powiedziała dziewczyna? – Pan Collins jest spokojny i zwraca się do mężczyzny bez cienia złości, ale to i tak studzi zapalę tego pyszałka.

– Myślałem, że...

– To lepiej nie myśl – przerywa mu. – A ty? – kieruje te słowa do mnie. – Wracaj do pracy. Teraz nie czas na to –

mówi, rozglądając się po wypełnionej gośćmi sali – ale mamy do pogadania.

Jestem pewna, że niczego nie przeskrobałam. I oczywiście mam świadomość, czego będzie dotyczyła ta rozmowa, której miałam nadzieję uniknąć. Gdyby tylko Brian nie przepadł gdzieś bez słowa!

– Oczywiście – przebakuję pod nosem, a potem udaję się na zaplecze. Zamierzam znów spróbować dodzwonić się do brata, bo naprawdę nie wiem, co robić.

Maddie

Okolice Plymouth, rok 2021

🎵 Ooh

Właśnie obudziłem się ze snu

I just woke up from a dream

Gdzie ty i ja musieliśmy się pożegnać

Where you and I had to say goodbye

I nie wiem, co to wszystko znaczy

And I don't know what it all means

Ale odkąd przeżyłem, zrozumiałem

But since I survived, I realized

Gdziekolwiek pójdiesz, tam będę podążał

Wherever you go, that's where I'll follow

Nikt nie obiecuje jutra

Nobody's promised tomorrow

Więc będę cię kochać każdej nocy, jakby to była ostatnia noc

So I'ma love you every night like it's the last night

Jakby to była ostatnia noc

Like it's the last night

Gdyby świat miał się skończyć, chciałbym być obok ciebie

If the world was ending, I'd wanna be next to you

Gdyby impreza się skończyła i nasz czas na Ziemi dobiegł kresu

If the party was over and our time on Earth was through

Chciałbym cię przytulić choć na chwilę i umrzeć z uśmiechem

*I'd wanna hold you just for a while and die with a smile (...)*¹ 🎵

Zaciskam palce na kierownicy niemal do bólu, aż bieleją mi knykcie. Bo nagle dociera do mnie, że jeśli wydawało mi się, iż to pomoże i wreszcie przestanę się nad sobą użalać, to chyba jestem bardziej naiwna, niż sądziłam.

„To przez tę cholerną piosenkę” – rzucam w myślach na pocieszenie i usprawiedliwienie zarazem, a wierzchem dłoni niedbale ścieram ściekającą po policzku łzę. „Zdecydowanie to вина piosenki. Bo przecież nie jego. On nie jest wart żadnej z moich łez”.

Nasze małżeństwo od dawna było fikcją, ale o jego zakończeniu zdecydowałam całkiem niedawno. To naprawdę świeża sprawa. Jack przesadził. Ostro.

Myślałam, że będę silniejsza, że łatwiej mi przyjdzie znieść całą tę sytuację związaną z rozwodem, jednak to nieprawda. Żal, jaki w sobie noszę nie tylko do męża, ale i rodziców, którzy w takim momencie powinni mnie wspierać, a tego nie robią, nie maleje. Przeciwnie. Chwilami wydaje mi się tak ogromny, że aż nie do zniesienia. Jak teraz.

¹ Lady Gaga, Bruno Mars, *Die with a smile*, album *Mayhem*, wytwórnia Interscope, 2025.

Zatrzymuję samochód na poboczu drogi. Nie gaszę silnika, tylko zdejmuję okulary przeciwsłoneczne i opieram czoło o kierownicę. Wzdycham. Chciałabym z całym przekonaniem nabrać pewności, że jeszcze wszystko się ułoży, że jeszcze będzie pięknie, ale nie potrafię.

Niechętnie podnoszę głowę i zerkam na GPS. Na szczęście to zabytkowe auto ma zamontowaną nawigację, bo nie zabrałam ze sobą telefonu, który mógłby mi za nią posłużyć. Stąd do Chicago zostało jeszcze około stu mil, więc jeśli nie docisnę pedału gazu, na miejsce dotrę po zachodzie słońca. Nie znoszę jeździć po zmierzchu. Gdy jest ciemno, nie czuję się pewnie za kierownicą. Nie wynika to jednak z braku umiejętności czy doświadczenia – prawko mam od wielu lat i nieskromnie mogę się nazwać dobrym kierowcą – a z lęku. Od dziecka bałam się ciemności. Może gdyby rodzice zaprowadzili mnie do psychologa lub innego specjalisty, poradziłabym sobie z problemem. Ale oni byli zbyt zajęci sobą. Wzajemnym rujnowaniem sobie życia.

Przecieram oczy, usuwając osiadłe na rzęsach kropelki łez, po czym na powrót wsuwam na nos okulary i włączam się do ruchu. Żeby zdążyć przed nocą, muszę naprawdę się pośpieszyć.



Do North Kenwood dojeżdżam wraz z zapadającym zmrokiem. Na betonowym podjeździe, tuż u podstawy werandy wiktoriańskiego, trochę już nadszarpniętego zębem czasu

domu gaszę silnik, uruchamiam mechanizm zamykający dach kabrioletu i opuszczam wnętrze auta. Z uznaniem stwierdzam, że mimo rzucającej się w oczy leciwości budynku, przed którym stoję, prezentuje się przepięknie. Idealnie komponuje się z tłem ogrodu po lewej stronie. Malinowa fasada domu współgra z kolorami w pełni rozkwitniętych róż, mieniających się odcieniami czerwieni i różu w świetle zachodzącego słońca. Nie przyjechałam tu jednak, żeby podziwiać kwiaty, więc przenoszę wzrok na wiodące do domu drewniane schody, okolone białymi balustradami z lekko łuszczącą się farbą. U ich szczytu zauważam kremowe, trochę poszarzałe i również gdzieś oblaźłe z farby, częściowo przeszkłone drzwi.

Wdrapuję się po dość stromych stopniach, by za chwilę stanąć oko w oko z kobietą, której właściwie nie znam. Jednak w mojej rodzinie krążą o niej legendy. Pukam do drzwi i odpowiada mi cisza. Próbuję zerknąć przez jedną z szyb, ale zawieszona po drugiej stronie gęsto tkana firanka mi to uniemożliwia. Pukam więc głośniejsze, a nawet wduszam dzwonek, który dopiero teraz zauważam, jednocześnie zastanawiając się, czy mój przyjazd tutaj nie był błędem. W końcu nie musiałam kogoś zastać w domu. Niejaka Bonnie Hyde mogła tu już po prostu nie mieszkać, a nawet od dawna nie żyć. Któż to może wiedzieć, skoro dotąd nikogo z mojej rodziny nie obchodziła, choć jej majątek owszem, i to bardzo.

Kolejny raz stukam do drzwi, jednak wciąż odpowiada mi cisza, odpuszczam. Odwracam się w stronę schodów i już

zamierzam wrócić do samochodu, gdy nagle, jakby z oddali dochodzą mnie ciche, szurające kroki. Nasłuchuję ich, przedstawiając ucho do drzwi. I w pewnym momencie omal nie wpadam do środka, bo te otwierają się znenacka.

– Ki diabeł? – słyszę. – Nie jesteś złodziejką ani inną... – kobieta, którą zauważam, jak tylko odgarniam włosy z czoła, przygląda mi się z namysłem – ...oszustką?

– Nie, proszę pani – odpowiadam jak z automatu. – Ja tylko... – Odruchowo poprawiam niewidoczne na ubraniu zagniecenia oraz kolejny raz ugłaskuję włosy, po czym wyciągam dłoń. – Jestem Madison Foster, a właściwie – robię pauzę, bo naraz myślę o czekającym mnie rozwodzie i wynikających z niego konsekwencjach – Madison Hyde – dodaję niepewnie.

Stojąca za progiem przygarbiona kobieta przygląda mi się z niebywałą uwagą, ale nic nie mówi. Nietrudno się domyślić, że wie, kim jestem, ale nijak nie komentuje nagłego przybycia krewnej, która dotąd, jak reszta rodziny, miała ją w głębokim poważaniu. Cóż, mam tego świadomość. I nie czuję się z tym dobrze.

– Przyjechałam, bo...

– Zapraszam. Opowiesz mi o tym w środku, drogie dziecko.

Dawno nikt się tak do mnie nie zwracał, ale nie komentuję tego, bo pani Hyde, wdowa po moim zmarłym dziadku, właśnie uchyla szerzej drzwi, robiąc mi tym samym przejście.

Pod nosem przebakuję jedynie ciche „dziękuję” i oczywiście korzystam z zaproszenia, bo... chwilowo nie mam dokąd pójść.

Zanim kobieta zamknie za nami drzwi i wrócimy do rozmowy, rozglądam się po niewielkim, aczkolwiek przytulnym holu. Na jego ścianach zauważam kwieciste tapety, które do złudzenia przypominają ogród obok domu. Przedstawione na nich róże są w podobnym, ciepłym odcieniu.

Może nie powinnam, ale nie umiem się powstrzymać i zaglądam w głąb domu, prawdopodobnie do salonu. Oprócz starodawnych, ale wciąż dobrze zachowanych mebli na ścianach również dostrzegam tapetę w różany motyw.

– To pani ulubione kwiaty? – wyrywa mi się niechcący. Widząc niezrozumienie w oczach stojącej obok mnie kobiety, dodaję: – Róże.

Nie chciałam być wścibska, a już na pewno nie zamierzałam tak rozpoczynać rozmowy. Powinnam od razu wyjaśnić, w jakim celu się tu zjawiłam. Tak byłoby najuczciwiej. Dlatego zanim pani Hyde odpowie, szybko przechodzę do sedna sprawy:

– Przyjechałam bo... – łykam głośno ślinę, nie wiedząc, jakiej reakcji mogę się po niej spodziewać – ...nie miałam dokąd pójść.

– Madison?

– Proszę mi mówić Mad, proszę pani.

– Dobrze, Mad. Jestem Bonnie. – Przyglądająca mi się kobieta posyła coś na wzór uśmiechu. – Ale możesz mnie nazywać babcią, jak wolisz.

– Dobrze... babciu – odpowiadam niepewnie.

Czuję się co najmniej niezręcznie. Przybyłam nie wiadomo skąd, bez wcześniejszego uprzedzenia. Domyślam się, jak to może wyglądać.

– Powiadasz, że odwiedziłaś mnie, bo nie miałaś gdzie się podziać? – pyta Bonnie, kierując się w głąb domu i pokazując, że mam tam iść razem z nią.

– Jeśli to dla pani, to znaczy dla ciebie... babciu – uśmiecham się nerwowo, bo nadal mi głupio – problem, to...

– Niczego takiego nie powiedziałam, drogie dziecko.

Znów to zrobiła, ponownie mnie tak nazwała, a w moim sercu rozlało się ciepło, na które reaguję nieznacznym uśmiechem.

– Zdziwił mnie tylko brak bagażu – pada krótkie wyjaśnienie.

– Zabrałam tylko podręczną torbę. Zostawiłam ją w aucie, na wypadek gdyby... – milknę, pomijając, że mogłam być niemile widziana w jej domu. A że przechodzimy właśnie obok okna, wskazuję na zaparkowany na podjeździe samochód. – Mogę po nią skoczyć, jeśli...

– Nie trzeba – przerywa mi Bonnie, czym mnie odrobinę zaskakuje. Nie mija sekunda, a wyjaśnia: – Potem zajmiemy się twoim bagażem.

Jadąc w nieznane, a potem obierając kurs na North Kenwood, miałam cały ogrom wątpliwości i czułam strach przed odtrąceniem. I właściwie chyba nawet nie liczyłam na pomoc, bo w obliczu tego, jak moja rodzina przez lata traktowała

zonę dziadka, nie powinnam mieć złudzeń ani oczekiwać od niej pomocy. Podczas podróży roztaczały się przede mną różne wizje. Jedną z nich był obraz zemsty za krzywdy, jakie wyrządzono Bonnie. Ale wciąż miałam nadzieję, że okaże się lepsza od nas wszystkich. A teraz, gdy dociera do mnie, że właściwie nie tego oczekiwałam, że w sumie nie zasłużyłam na pomoc, zwłaszcza od niej, coś we mnie pęka.

– Przepraszam – wyduszam z siebie, mrugając szybko powiekami.

Czasem to pomaga, by zapobiec łzom i wynikającej z nich kompromitacji. Kobiecie w moim wieku nie wypada się mażać. Tym razem jednak nie udaje mi się wygrać tej nierównej walki, a łzy toczą się już grochami po obu moich policzkach.

– Nie chciałam być żalosna. Proszę mi wybaczyć.

– Nie jesteś żalosna. Zapewniam cię, drogie dziecko.

Bonnie chwyta mnie za rękę i prowadzi przez salon do przyległej do niego kuchni. Przy niewielkim stole zauważam siedzącego na krześle młodego mężczyznę. Odruchowo zatrzymuję się w miejscu i niedbale, rękawem bluzki wycieram oba policzki. Po prostu nie wiem, jak mam się zachować. Poza daleką krewną nie spodziewałam się tutaj nikogo innego.

– Zdaje się, że przyjechałam nie w porę. I jeśli przeszkadzam, to...

– Nie przeszkadzasz, Mad. – Kobieta ponownie chwyta moją drżącą dłoń, którą na moment puściła, żeby się podoprzeć o framugę, kiedy przechodziła przez próg, po czym

ściska ją lekko, ale pokrzepiająco. – Ryan? – tym razem zwraca się do mężczyzny, który natychmiast podnosi się z krzesła i przygląda mi się z zainteresowaniem. – Poznaj Madison. Moją wnuczkę.

Przez lata wmawiano mi, że niejaka Bonnie Hyde nie jest moją krewną. A ja jestem co najwyżej wnuczką Raymonda, jej męża, a mojego dziadka. Tym bardziej jest mi miło, że mnie tak nazwała, choć niewątpliwie, zważywszy na przeszłość, nie zasługiwałam na to miano.

– Cześć, Madison. – Jeszcze sekundę temu wyraźnie za-intrygowany moim przybyciem mężczyzna teraz patrzy na mnie chłodno. Jednak wyciąga w moim kierunku dłoń, którą przyjmuję z lekką, w zasadzie niczym nieuzasadnioną obawą. – Jestem Ryan – dodaje. – Mieszkam... – słyszę wahanie w jego głosie – ...nieopodal. I czasem wpadam do Bonnie.

– Dzień dobry – pozostaje mi odpowiedzieć. – Jestem Mad.

Kiedy na moment zapada krępująca cisza, naprawdę zaczynam czuć się niezręcznie. Sytuację ratuje Bonnie.

– Może przyniesiesz bagaż Mad, Ryanie?

– Nie trzeba! – protestuję. – Naprawdę nie chcę sprawiać kłopotu.

– To żaden problem – zapewnia mężczyzna. – Zajmę się tym, a ty – zerka na obserwującą nas w milczeniu Bonnie – pogadaj sobie z wnuczką – mówi, wyciągając rękę po kluczyki. – Od serca – dodaje z wyczuwalnym podtekstem,

co zapewne oznacza, że musiał wiedzieć o mnie i mojej rodzinie więcej, niż mogłabym się spodziewać.

Kiedy wychodzi i zostawia nas same, właściwie nie wiem, od czego miałabym zacząć rozmowę z babcią. Ale uznaję, że niejaki Ryan ma rację. Powinniśmy porozmawiać. Szczerze.



Babygirl

Houston, rok 1984

– Do cholery, Brian! – klnę pod nosem, nie zważając na wpatrującego się we mnie ochroniarza, który nagle wyrasta mi za plecami. – Zadzwoń, proszę! – Zostawiam wiadomość po sygnale, po czym odwieszam słuchawkę i zerkam na obserwującego mnie mężczyznę, racząc go najbardziej niewinnym, a zarazem wdzięcznym uśmiechem, na jaki mnie stać. – Przepraszam – mówię jedynie, widząc jego niezadowoloną minę. – Już wracam do pracy – dorzucam, a potem spoglądam na drzwi wiodące do głównej sali i wzdycham. Czas wrócić do rzeczywistości.



Mam coraz gorsze przeczucia. Mojemu bratu czasem zdarzało się zabalować, nawet ostro, ale nigdy nie przepadał bez słowa na tak długo. Potrzebuję go. W dodatku muszę podjąć decyzję, od której sporo zależy, i mam mieszane uczucia. Już samo zachowanie tego typka, który pozwolił sobie dziś wobec mnie na więcej, niż powinien, daje mi

do myślenia. I potwierdza teorię, którą dotąd właściwie postrzegałam jako plotkę. Co prawda szef w porę opanował sytuację, ale jego formalne zachowanie, a nawet obojętność wobec moim zdaniem co najmniej nieciekawej sytuacji, w jakiej się przez chwilę znalazłam, sprawiły, że martwiłam się coraz bardziej. I bałam się, że pogłoski, które krążyły na temat ukrytej profesji pana Collinsa, mogą okazać się prawdą.

Jeśli tak, to w krótkim czasie stanę się bezrobotna. Innego wyjścia nie widzę. Dziewczyną do towarzystwa nie zostanę!

Ciekawe tylko, co na to mój brat.

Pocieram czoło. Mam nadzieję, że Brian wreszcie włączy ten przeklęty telefon i odsłucha wiadomość, którą mu zostawiłam. Może odrobinę dramatyzowałam, ale przez to jego nagłe zniknięcie czułam nadciągające kłopoty.

– Tu się schowałeś – dochodzi mnie naraz, a przed moją twarzą wyrasta kolejny z ochroniarzy. – Szef cię szuka.

– Już idę – mamrocę pod nosem, a potem poprawiam fartuszek, który w tej jednej chwili wydaje mi się przykrótki i ogólnie jakiś przyciasny, po czym ruszam jak na ścięcie.

Co robić?!

W głównej sali nie mogę wypatrzeć pana Collinsa. Początkowo uznaję, że to wina otaczającego mnie zewsząd tłumu. Jednak wszystko w końcu staje się jasne. I to bardzo szybko.

– Szef jest na górze, u siebie – mówi ochroniarz, czający się gdzieś za moimi plecami.

Nie komentuję tego, ale czuję coraz większy niepokój. Stresuje mnie ta rozmowa, bo od niej prawdopodobnie ma

zależec moja najbliższa przyszłość. To niewłaściwy moment, żebym straciła tę robotę, bo obecnie nie mam nic nowego na oku, ale też nie zamierzam zgadzać się na *nowe* warunki, jeśli by te miały zrobić ze mnie kobietę o wątpliwej moralności.

Kiedy stoję pod drzwiami, za którymi znajduje się prywatne biuro pana Collinsa, biorę głębszy wdech. Serce łomocze mi w piersi, ale chwilowo nie widzę innego rozwiązania – muszę podjąć tę decyzję samodzielnie i wziąć sprawy w swoje ręce.

Pukam.

– Wejdz – dochodzi mnie z głębi.

Niepewnie naciskam klamkę i spełniam polecenie służbowe – wchodzę do paszczy lwa. Powietrze przesączone jest dymem tytoniowym oraz zapachem mocnego alkoholu. Na blacie biurka, przy którym zasiada mój szef, zauważam szklaneczkę z niedopitą whisky, a w popielniczce tłący się niedopałek papierosa.

– Usiądź – pada kolejny rozkaz, ale zanim zdążę jakkolwiek zareagować, pan Collins dorzuca: – Nalać ci?

Siadam, przenoszę wzrok na szefa i zaprzeczam:

– Nie. Jestem w pracy.

„I to chyba nielegalne” – dorzucam w myślach.

– Ja również – słyszę w odpowiedzi. – Możesz już nas zostawić. – Tym razem Collins zwraca się do goryla, który mnie tu przyprowadził i również wszedł do środka.

Kiedy zostajemy sami, o czym świadczy odgłos zamykanych drzwi, na który drgam nieznacznie, szef wstaje od

biurka, sięga po dodatkową, kryształową szklaneczkę, a następnie nalewa do niej alkohol i mi go podsuwa. Nadal nie jestem przekonana, czy to dobry pomysł, ale chyba strach odebrał mi resztki rozumu, bo dziękuję cicho i wychylam niemal całą zawartość na raz. Pan Collins uśmiecha się znacząco, ale na moje szczęście tego nie komentuje. Mówi jednak coś, czym szybko sprowadza mnie na ziemię.

– Za dwa dni kończysz osiemnaście lat.

W obliczu faktu, że właśnie piłam alkohol, mimo że tutejsze prawo tego zabrania, wypominanie mi wieku uznaję za mało stosowne. Ale nie komentuję tego. Po prostu wiem, że z szefem o pewnych sprawach nie powinno się dyskutować. Zwłaszcza o jego kompetencjach zawodowych. Jest tu szefem, więc robi, co mu się podoba.

– To prawda – potwierdzam, włączając się tym samym do rozmowy. – Mogę jednak wiedzieć, do czego pan zmierza?

– Konkretna jak zawsze. – Collins uśmiecha się lekko. Nie jestem pewna, czy to był komplement, ale nie dociekam. – Wspominałem o tym jakiś czas temu, ale chyba mnie nie do końca zrozumiałaś.

Kiedy to słyszę, dopijam resztę whisky, a mężczyzna już dolewa mi następną.

– Dziewczyna, z takimi talentami jak ty – mówiąc to, mój jak dotąd nienagannie zachowujący się szef gapi mi się na dekolt, co mnie wkurza i niepokoi jednocześnie – marnuje się, latając z tacą pomiędzy stolikami.

– Ale ja lubię moją pracę – odpowiadam z przekonaniem.

Chyba wciąż mam nadzieję, że to wystarczy i da mi spokój oraz zaniecha planów, które – wszystko na to wskazuje – ma wobec mnie.

– I myślałam, że...

– A ja myślałem, że jesteś bardziej ambitna.

– Wydaje mi się – przelękam głośno ślinę, widząc błysk zainteresowania w oku mężczyzny – że źle mnie pan ocenił.

– Czyżby? – Uniesiona brew i drgające kąciaki ust Collinsa nie wróżą niczego dobrego. – Ile?

– Nie rozumiem.

– Ile chcesz podwyżki. Podaj kwotę.

– Chce mnie pan kupić?! – Podnoszę się zagniewana, ale na siedzącym mężczyźnie nie robi to najmniejszego wrażenia.

– W zasadzie już to zrobiłem.

– Słucham?!

Czuję, że błędę, ale oczywiście to nie ujmuje oburzenia, które wyraźnie słyszać w moim głosie.

– Posłuchaj, kotku. – Pan Collins również wstaje i poluznia krawat, co wywołuje we mnie panikę oraz sprawia, że czuję suchość w ustach. – Kiedy twój brat przyszedł do mnie i poprosił, żebym cię zatrudnił, sam zaproponował cenę.

– Bzdura!

Moje oburzenie sięga zenitu. Brian był na mnie wściekły, kiedy rzuciłam szkołę, i określił się jasno: skoro nie zamierzam kontynuować nauki, mam zacząć na siebie zarabiać. Ale nie sprzedałby mnie! O tym jestem przekonana.

– Proszę mnie posłuchać. – Staram się opanować i mówić w miarę normalnym, pozbawionym emocji głosem. – Mój brat mnie kocha i...

– Nie rozmawiajmy o uczuciach, drogie dziecko, bo na te nie ma miejsca w tym biznesie. Masz dwa dni na podjęcie decyzji.

Rozum podpowiada mi, że powinnam wstać i wiać, gdzie pieprz rośnie, ale coś trzyma mnie w miejscu. Nie wiem, może to strach? Bo jeśli pan Collins mówił prawdę, a mój brat mnie sprzedał, to oboje możemy mieć przejebane.

– Może pan jaśniej? – pytam więc.

– Jak już wspomniałem, za dwa dni staniesz się pełnoletnia. – Mam ochotę wykrzyczeć: „I co z tego?!”, ale nawet ust nie jestem w stanie otworzyć, bo Collins dodaje: – Wszelkie formy prostytucji poniżej osiemnastego roku życia są zabronione, dlatego...

– Chce pan, żebym została jego dziwką?!

– Zaraz tam moją. – Collinsa najwyraźniej bawi cała ta sytuacja, bo uśmiecha się niewzruszony. – Nie przeczę, zdarza mi się czasem zabawić z którąś z pracujących dla mnie dziewczyn, ale żadnej nigdy nie uważałem za swoją.

To się nie dzieje naprawdę!

Ryan

Chicago, rok 2021

Jak co drugi piątek, po skoszeniu trawnika należącego do posesji pani Hyde, Bonnie zwyczajowo zaprosiła mnie na herbatę oraz szarlotkę z lodami. W dzieciństwie podobną piekła moja matka. Uwielbiałem ją za to, a ona... Wydaje mi się, że jeszcze wtedy mnie kochała. Potem wszystko się zmieniło.

Teraz jednak nie chcę do tego wracać. W tej chwili mam bowiem coś ważnego do zrobienia. Muszę przynieść rzeczy *jaśnie panienki*. Kiedy bidulka cała we łzach stanęła w progu kuchni, niemal od razu ją rozpoznałem. Bonnie wiele razy pokazywała mi zdjęcia nie tylko jej, ale i reszty tej niewdzięcznej rodzinki z piekła rodem. I szczerze? Nie spodziewałem się ujrzeć żadnego z jej członków, zwłaszcza dziedziczki fortuny Hyde'ów.

Ale prawdę mówiąc, byłem ciekaw, co takiego się wydarzyło, że Madison Hyde miała chęć po latach zjawić się w skromnych progach swojej babki i prosić ją o pomoc. Z zasłyszanej w korytarzu rozmowy wyraźnie wynikało, że biedna

Maddie ma jakieś kłopoty. Szkoda, że dotąd ani razu nie przyszło jej do głowy, że jej babka też może je mieć.

Kiedy wychodzę przed dom, doznaję lekkiego szoku. Widok zabytkowej corvetty – na moje oko tej samej, którą aż za dobrze zapamiętałem – wprawia mnie w osłupienie. Pomimo upływu lat nadal wydaje się dobrze zachowana i z pewnością jest warta fortunę. Znam się na autach, zwłaszcza na zabytkowych. To perła wśród chevroletów, w szczególności pośród klasyków.

Po tym, jak już po pierwszym roku porzuciłem studia, których mimo szczerych chęci nie byłem w stanie samodzielnie sfinansować, pracowałem przez jakiś czas w warsztacie specjalizującym się w renowacji zabytkowych samochodów. Sporo się tam o nich dowiedziałem.

Podchodzę do auta, otwieram bagażnik i wydaję torbę *jaśnie dziedzicki*. Zanim jednak wrócę do domu Bonnie, by wręczyć ją właścicielce, zerkam jeszcze na wciąż niezamkniętą klapę samochodu i z uznaniem stwierdzam, że auto wygląda, jakby niedawno zjechało z taśmy w fabryce. Nawet kolor pod tylną maską błyszczy, a uszczelka wygląda na całkiem nową. Aż trudno uwierzyć, że to wciąż ten sam samochód. Pewności, że to corvetta pana Raymonda nabieram w momencie, kiedy zatrząskuję bagażnik i zauważam charakterystyczną nalepkę. Pan Hyde otrzymał ją z klubu miłośników klasyków, do którego owego czasu przynależał.

Pomimo upływu lat oraz tego, że znaczek lekko wypłócił od słońca, rozpoznałem go bez problemu. W końcu

wspólnie go naklejaliśmy. Ray był wspaniałym człowiekiem i jeszcze lepszym sąsiadem. Kiedyś spędzałem z nim mnóstwo czasu. Faworyzował mnie spośród chłopców z okolicznych domostw. Byłem jego ulubieńcem.

– Nawet to, hieny, odebrałyście biednej Bonnie – burczę pod nosem.

A potem jeszcze raz zerkam na samochód i kieruję się w stronę schodów wiodących do domu państwa Hyde.

– Chociaż tego nie udało się wam wydrzeć tej biednej kobiecie – mamroczę, obejmując wzrokiem strzelisty, wciąż dobrze zachowany budynek.

Kiedy wracam do środka z walizką, z kuchni, którą oddziela korytarz i otwarty salon, dochodzi mnie cicha rozmowa obu kobiet. Madison już nie płacze, co w sumie nawet mnie nie dziwi. Takie paniusie jak ona tylko udają rozżalone damulki, a jak dochodzi co do czego, szybko dostosowują się do nowych, bardziej sprzyjających okoliczności, co wyraźnie potwierdza jej zachowanie.

– Jego ojciec pewnie teraz przewraca się w grobie – dochodzi mnie głos Bonnie. – Jestem pewna, że gdyby żył, nie stałby z boku i nie przyglądałby się temu bezczynnie.

– Naprawdę tak myślisz? – Madison odpowiada pytaniem, głosem tak żalonym, że jeszcze moment, a byłbym w stanie nabrać się na tę jej gierkę.

Ale że jestem zbyt dobrze zorientowany w sprawach tej rodziny, nie uwierzę, by którykolwiek z jej członków okazał się zdolny do tego typu uczuć. Niewinność i skrucha, które

dają się usłyszeć w głosie tej... baby to tylko ułuda, zwykła gierka, mająca na celu wzbudzenie litości. Czas nazwać sprawę po imieniu: Madison Hyde nie jest już dziewczęciem, a w moim odczuciu podstarzała, może nawet ryczącą czterdziestką. Dokładnie ile ma lat, nie zapytałem, bo przecież kobiet nie wypada pytać o takie rzeczy.

Niechcący wpadam na jedną z szafek, omal nie strącając stojącego na niej wazonu z kwiatami. Na szczęście udaje mi się go w ostatniej chwili chwycić. Niemniej robię przy tym tyle hałasu, że od razu zostaję *namierzony*.

– To ty, RYanie? – pyta Bonnie.

– Tak. – Wychodzę z ukrycia i stoję w progu kuchni. – Jeśli już mnie nie potrzebujesz – zerkam na Madison, która świdruje mnie wzrokiem – jeśli obie mnie nie potrzebujecie – poprawiam się, jak przystało na dżentelmena, którym staram się być wobec starszej z kobiet – to pójdę już.

– Tak szybko? – Bonnie z trudem podnosi się z krzesła, co nie uchodzi uwadze drugiej z kobiet. Ta wydaje się zdziwiona, może nawet zmartwiona, ale ja wiem, że to tylko gra pozorów. – Myślałam, że zostaniesz na kolacji – dodaje pani Hyde.

„Też na to liczyłem” – mam zamiar odpowiedzieć, ale decyduję się skłamać. Po prostu nie mam ochoty na towarzystwo Madison Hyde.

– Mam plany – oznajmiam.

– Randka? – podchwytuje szybko Bonnie i raczy mnie ciepłym uśmiechem.

– Można to tak nazwać. – Kontynuuję tę farsę, choć prawda jest taka, że nie mam żadnej randki. Bo i od dawna nie chadzam na nie.

Nie umawiam się z dziewczynami, bo nie zamierzam się wiązać. Uczucia nie są wpisane na moją listę spraw, które planuję zrobić w życiu. Mam inne priorytety. I cele, które – szczerze w to wierzę – uda mi się zrealizować.

– Poznam ją kiedyś?

– Całkiem możliwe.

„Kłam, kłam...” – W mojej głowie odbija się echo zdrowego rozsądku. „Oby ci nos jak u Pinokia nie urósł”.

– A teraz wybaczą panie – zerkam na obie, starając się nie pokazywać prawdziwych uczuć względem młodszej z kobiet – ale na mnie już czas.

Bagaż *jaśnie pani* stawiam na podłodze, kiwam do Bonnie, a *wielmożnej* rzucam przelotne spojrzenie i zawracam do wyjścia. Przez ułamek sekundy zauważam jej niejasne w moim odczuciu spojrzenie. Zupełnie jakby Madison Hyde czegoś ode mnie chciała. Ignoruję ją. Od takich jak ona, zwłaszcza *takich*, lepiej trzymać się z dala.



Do motelu wracam nad ranem. Naściemniałem Bonnie o rzekomej randce. Poszedłem raptem na stronę z jedną z napotkanych w barze dziewczyn. I trochę się nam przeciągnęło. Było miło, nie przeczę, odprężająco, ale teraz się popsulo – stwierdzam, jak tylko wchodzę do pokoju

i wyczerpany zdejmuję ubranie. Odkrywam bowiem, że mam coś, co należy do *jaśnie pani* Hyde. Z kieszeni dżinsów na podłogę wypadają kluczyki od corvetty. Nie podoba mi się ani trochę, że będę musiał tam wrócić wcześniej, niż planowałem, żeby je oddać. Wiem jednak, że muszę to zrobić, bo nie chcę ryzykować i zostać posądzony o kradzież. *Z takimi paniusiami* jak ona nigdy nic nie wiadomo.

„Trudno, będę musiał spotkać się z nią jeszcze raz, choć wcale nie mam na to ochoty”.

W normalnych okolicznościach nie miałbym z tym problemu – Bonnie jest dla mnie jak rodzina i lubię do niej wracać – ale wkurza mnie świadomość, że ta pozbawiona zasad moralnych baba tam jest. Ma tupet. Wprost nie mogę uwierzyć, że po tym, co jej rodzina zrobiła Bonnie, a zwłaszcza czego ta paniusia sama nie robiła (a powinna!), ma teraz czelność zjawiać się w North Kenwood, oczekując pomocy od chorej babki.

Kluczykami zamierzam zająć się później. Teraz kładę je na nocnym stoliku obok łóżka, rozbieram się i idę pod prysznic. Woda, zwłaszcza o tej godzinie, pewnie nie będzie zbyt ciepła – zarządca motelu to straszny sknera i na noc wyłącza bojler w kotłowni, twierdząc, że noc jest wyłącznie od spania – ale nie wyobrażam sobie, żeby po seksie się nie odświeżyć.

Przechodzą mnie dreszcze, kiedy zimna woda spływa po moim ciele, więc prysznic ograniczam do niezbędnego minimum. A potem wycieram się szybko szorstkim jak cholera

ręcznikiem i wskazuję do łóżka. Niebawem zacznie świtać. Powinienem odpocząć, bo czeka mnie dzień pełen wrażeń. Tak mi się przynajmniej wydaje. Już samo spotkanie z Madison na to wskazuje. I z całą pewnością nie napawa mnie to optymizmem.



Jestem wkurwiony, kiedy się budzę. Bo nie dość, że miałem sny nietrzymające się kupy, to jeszcze słyszę hałas dobiegający zza ściany. Właściwie nie jestem w stanie stwierdzić, co nagle wyrwało mnie z drzemki, w którą ledwie co zapadłem: ten debil, lokator zza ściany, nieszanujący prywatności innych, czy może kobieta, która mi się przyśniła. Ze wszystkich osób nieraz nawiedzających mnie we snach jej akurat bym się nie spodziewał ujrzeć. Nawet w najgorszym koszmarze!

– Niech cię szlag, Madison Hyde!

Zwlekam się z łóżka. Wkładam czyste ubranie, biorę kilka łyków pepsi prosto z butelki, a potem zgarniam kluczyki od corvetty Raya i opuszczam pokój.

„Może gdyby nie noc, która mnie przed tym powstrzymała, w skutek czego nie byłem w stanie od razu zająć się tą sprawą, miałbym spokojniejszą głowę?” – myślę zirytowany. Któż to może wiedzieć.



Dojazd pod posesję Hyde'ów nie zajmuje mi zbyt wiele czasu, bo z motelu mam tu świetne, bezpośrednie połączenie autobusem. Właściwie dojeżdżam niemal pod sam dom Bonnie, a od miejsca docelowego dzieli mnie raptem jedna przecznica.

„Jest naprawdę wcześnie” – stwierdzam, patrząc na zegarek.

W moim odczuciu noc nie zdążyła jeszcze ustąpić porankowi. A Bonnie, choćby ze względu na wiek oraz stan zdrowia, nie wstaje o świcie wraz z pierwszymi promieniami słońca. Dlatego szybko dochodzę do wniosku, że chyba nie wypada mi jej budzić. Więc co robić?

Autobus zatrzymuje się na przystanku, wysiadam zatem, rozglądam się wokół, a potem kieruję kroki na dobrze mi znaną trasę. Mijam kilka wiktoriańskich domów – ta dzielnica z nich słynie – po czym wbijam się na właściwą ulicę. Idę obok domostw, które doskonale pamiętam z dzieciństwa. Przeszły gruntowny remont i teraz prezentują się znacznie lepiej niż przed laty. Nie to co mój dom rodzinny, który znajduje się po przeciwnej stronie ulicy, niemal na wprost domu państwa Hyde. Budynek, w którym się wychowywałem, jest mocno zaniedbany. Właściwie dziś to totalna rudera. Jeśli nie zdołam go wykupić i zaraz nie zacznę remontować, zupełnie zniszczeje. Jest tylko jeden mały problem. Skąd miałem na to wziąć pieniądze?

Mam mieszane uczucia. Widząc, w jak opłakanym stanie się znajduje, po raz kolejny stwierdzam, że dalsza walka

o prawa do niego prawdopodobnie nie ma sensu. Gdyby matka przewidziała pewne sytuacje i uregulowała najbardziej istotne kwestie, prawdopodobnie budynek nie popadłby w ruinę. Ale był czas, gdy myślała wyłącznie o sobie i zupełnie jej to nie obchodziło. I dokąd to nas doprowadziło?

Dłużej nie rozkminiam tematu, bo coś – i nie jest to czerwony samochód skrzący się w świetle pierwszych, jeszcze trochę nieśmiałych promieni słonecznych – a właściwie ktoś przykuwa moją uwagę. To Madison. Ma na sobie grube, wełniane skarpety oraz za duży o kilka rozmiarów sweter, który nawet z daleka do złudzenia przypomina mi mój własny – zostawiłem go jakiś czas temu u Bonnie. Kobieta siedzi na schodach domu swojej babki. I jest tak pochłonięta własnymi myślami, że początkowo w ogóle mnie nie zauważa. Dopiero kiedy przechodzę na drugą stronę ulicy, odkrywa, że nie jest sama. Prostuje plecy i naciąga na kolana sweter, jakby się co najmniej zawstydziła, czego nie kwituję. Jeśli myśli, że byłbym nią zainteresowany, to grubo się myli. Jest ładna, jak na swoje lata, nie przeczę, ale że jako człowiek niczego sobą nie reprezentuje, wcale mnie nie obchodzi.

Ale w sumie cieszę się, że na siebie wpadamy, bo nie będę musiał czekać, aż Bonnie się obudzi. A że jestem tu tylko dlatego, że przez przypadek zabrałem coś, co zdaje się należeć do Madison, to szybko stwierdzam, że nawet nieźle się składa.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

ZRANIONA KOBIETA JEST JAK ZRANIONE ZWIERZĘ – WALCZY Z KAŻDYM, KTO SIĘ DO NIEJ ZBLIŻY. NAWET SAMĄ ZE SOBĄ

Jest rok 2021, gdy Maddie Foster – a właściwie Maddie Hyde – rozwodzi się z mężem. Przyparta do muru przez życiowe okoliczności i korzystając z nadarzającej się okazji, jedzie do Chicago, gdzie mieszka wdowa po jej dziadku. Bonnie Hyde, choć spotkało ją wiele nieprzyjemności ze strony rodziny zmarłego męża, przyjmuje jego wnuczkę zaskakująco serdecznie. To nie podoba się młodemu sąsiadowi Bonnie. Ryan doskonale wie, ile zła wyrządzili pani Hyde członkowie tej piekielnej rodziny...

W innej perspektywie czasowej mamy rok 1984 i jesteśmy w Houston. Pewna dziewczyna ma problem, który chciałaby przedyskutować ze swoim starszym bratem.

Niestety, Brian nie odbiera telefonu. Szybko wychodzi na jaw, że to on wpędził ją i siebie w kłopoty, z których oboje zamierza wyciągnąć przyjaciel Briana, Marcus. Mężczyzna musi działać błyskawicznie – Babygirl niebawem skończy osiemnaście lat, a wtedy jej los zmieni się nieodwracalnie...

Dwie pełne emocji i zwrotów akcji historie!
Choć różni je miejsce i czas, łączą więcej, niż się spodziewacie.

Patroni medialni:



© CUTE
© © SENSUAL
© © © SPICY
© © © © DARK

editio
Red
EDITIO.PL

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-2120-7



9 788328 921207

GRN-49/90 Z